

— Ależ dzieciństwo skończone! Ciekaw jestem, dlaczego pani tam umrzeć miała? Tam, gdzie tysiące ludzi odzyskuje zdrowie i życie...

— A jednakże czuję doktorze, że umrę tam — powtarzała z jakimś smutnym dziecinny uporem.

Doktor zerwał się oburzony.

— A więc coś pani chcesz?! — zawołał podniesionym głosem. — Czy mam poświęcić dla pani obowiązki moje, rodzinę? Mam podeptać honor i stać się podłym człowiekiem? Szaleństwo!

Przerażona podniosła się z otomany i chwiejnym krokiem zbliżyła się do niego. Rączki złożyła błagalnie i podniosła na niego cudowne spojrzenie przerażeniem rozszerzonych źrenic.

— Zrobię, co zechcesz, tylko się nie gniewaj na mnie... nie krzycz... ja się boję pana... doprawdy, boję się... nikt tak nigdy nie krzychał na mnie.

Usta jej drżały, jak u dziecka, krzywiły się do płaczu.

Zamiast odpowiedzi padł przed nią na kolana i pocałował i tulił jej ręce.

— Biedactwo moje! Biedna ty moja ptaszyno złota! Daruj mi! daruj!

Ale ona chwiał się zaczęła.

Zerwał się szybko i porwawszy na ręce, złożył na otomanie. Kilka środków, umiejętnie zastosowanych, przyprowadziło ją do przytomności, lecz czuła się zmęczona.

— Jak tylko powietrze się ociepli — mówił cicho i łagodnie, rozgrzewając w swoich dłoniach chłodne jej rączki — pojedziesz pani do Mentony. Odzyskasz tam dopiero zupełnie zdrowie. Konieczne to jest, konieczne dla ciebie i dla naszego spokoju. Zabawi tam pani parę miesięcy, potem powróci i będziemy się widywali, jak dobrzy przyjaciele.

Mówił długo. Ona nie opierała mu się już, ani zaprzeczała jego słowom. Słuchała kiwając główką ze smutnym uśmiechem, ale w duszy powtarzała sobie ciągle z dziecinny uporem:

— Umrę tam z pewnością bez niego.

* * *

Doktor powrócił był właśnie do domu z wizyt lekarskich. Zmęczony był, ale poważny i spokojny. Na jego widok dzieci zbiegły się z radosnym okrzykiem, by przywitać się z ojcem. Każde chciało być pierwsze. Na końcu podeszła żona, której twarz na widok męża rozjaśniła się błogim uśmiechem.

Wkrótce zasiedli do kolacyi.

Na dworze huczała śnieżycą grudniowa, w jadalni jednak było ciepło i zacisznie.

Doktor spojrzał po kolei na pięć główek, siedzących koło niego — wszystkie były zdrowe i uśmiechnięte. Spojrzał na żonę — i na jej twarzy malował się spokój niezamącony, rozjaśniony wyrazem szczęścia i miłości.

Błogie uczucie przeniknęło pierś jego, wywołując dumny uśmiech na usta.

Jakże wdzięczny był sobie za tę chwilę hartu i silnej woli, — jak błogosławił tę moc panowania nad sobą, że oparł się chwilowej, szalonej pokusie i okupił tem szczęście i spokój swej rodziny.

Wspomnienie to niewiedzieć skąd przyszło mu dziś do głowy — bo wiele czasu już minęło od jej odjazdu.

Z początku korespondowali z sobą po przyjacielsku — lecz wkrótce „złoty ptaszek“ widocznie o nim zapomniał.

Niedawno temu przyśniła mu się taka, jak przeleżała się jego gniewu — blada, drżąca. Stała przed nim ze złożonymi błagalnie rączkami.

Wtedy obudził się wzruszony i zaraz nazajutrz napisał list do niej ostatni.

Podobnie, jak na poprzednie, nie otrzymał i na niego odpowiedzi.

Przykro mu było pó-

źniej — jednakże wytłumaczył sobie to jej milczenie.

— Lepiej dla nas obojga, że o mnie zapomni.

Dziś siedzi w gronie rodziny, czuje na swem ramieniu z ufnością wspartą głowę żonę. Jest mu dobrze, a pod tem uczuciem ustępuje fala wspomnień.

W myśli widzi radość, która pojutrze, w wigilijny wieczór opromieni twarz żony i dzieci na widok podarków, które w tajemnicy przed niemi przygotowywał.

Wchodzi sługa.

— Telegram...

Nie zaniepokoiło ich to wcale, często bowiem zdarzało się, że go wzywano i do odległych miejscowości.



Spokojnie otworzył telegram:

„Pani Helena wzywa pana byś był łaskaw przybyć natychmiast. Jest umierająca. Mieszkamy: Mentona, willa Santa Lucia I. p.“

Złożył szybko telegram i schował go do kieszeni.

— Wzywają mnie do chorego — rzekł zdławionym głosem — muszę jechać zaraz, o wpół do jedenastej odchodzi pociąg. Bądź tak dobrą i wyszukaj mi trochę rzeczy, bo być może, że będę musiał nieco dłużej pozostać.

— Czy kto znajomy? — spytała żona patrząc badawczo na pobladałą twarz męża.

— Tak, córka mego kolegi i przyjaciela z lat szkolnych... jedyne dziecko... — kłamał, chcąc pokryć wzruszenie.

W godzinę potem siedział w pociągu, zapomniawszy o rodzinie, o świętach, które zawsze zaliczał do najpiękniejszych dni. Wyrzuty sumienia trawiły go okropnie — pół życia dałby Helenie,

by ją mógł ocalić raz jeszcze.

W Mentonie stanął nazajutrz, w wigilię nad wieczorem.

Jeszcze minut kilka — naście, tyle bowiem czasu potrzebował dorożkarz, by zawieźć go z dworca do willi, minut długich jak wieki, gdyż jedna tylko myśl tkwiła mu w móżdgu:

Czy zastanie ją jeszcze przy życiu — wreszcie stanął przed drzwiami jej mieszkania.

Serce mu zabiło głośno, gdy zapukał.

Drzwi otworzyły się z wolna. Siostra Marya stała na progu.

— A to pan?! Proszę...

Gdy wszedł do pokoju, wzrok jego padł na białą postać, leżącą na otomanie, otuloną poduszkami. Stanął jak przykuty i zimny dreszcz przebiegł mu po ciele.

Toż to miał być śliczny złoty ptaszek, ten drobny wyschnięty szkielecik, pokryty żółtą woskową skórą?

Zmieniona była do niepoznania. Duże, niebieskie oczy zgasły, otoczone dookoła ciemnymi obwódkami. Twarz znikła prawie zupełnie, pozostawiając tylko wypukłe kości policzkowe, na ręce patrzeć nie było można bez zgrozy. Jedne tylko warkocze długie, bujne, złociste opadały jak dawniej ku ziemi, tworząc w zagięciach cudne refleksy.

Na widok doktora postać poruszyła się, robiąc widocznie wysiłek, aby się podnieść, lecz nadaremnie...

Wtedy usta poruszyły się nieznacznie i po chwili dopiero uleciał z nich głos słaby do dalekiego echa podobny.

— Chodź pan bliżej tu...

Odrętwiały z bólu doktor zbliżył się machinalnie i stanął obok otomany.

Blady, okropny uśmiech zadrgał na bezbarwnych usteczkach... Wyciągnęła rączkę.

— Dziwisz się, że żyję jeszcze? — szepnęła i ludzie tu dziwią się także, że umieram tak długo i umrzeć nie mogę. Ale ja wiedziałam, że bez ciebie żyć nie będę i teraz wiedziałam, że nie umrę, dopokąd cię nie zobaczę raz jeszcze.

Przymknęła oczy osłabiona.

Mężczyzna stał nieruchomy, niepojęta siła uczuć wzrok jego przykuwała do biednej twarzy. Czuł, jak mu w piersi coś rwało się z bólu, darło na szmaty.

— Czemu tak późno? — wykrztusił наконец ze ścieśnionej piersi.

— Bałam się... może byłbyś gniewał się na mnie doktorze — odparła, podnosząc na niego nieśmiele gasnące oczęta.

Okropne wstrząsające łkanie wydarło się z piersi doktora. Padł przy niej na kolana, kryjąc twarz w fałdy jej białej sukni.

Było coś okropnego w tem łkaniu silnego mężczyzny. Siostra Marya uczuła nagle lzy spływające jej po twarzy. Znała ten dramat od początku.

— Nie płacz — szepnęła chora, a wyraz nadziemskiej czułości opromienił jej rysy — nie płacz, bo żal mi bardzo, że cierpisz, obojeśmy niewinni. W duszy ja cieszę się, że odejdziesz — czemuż ja mogłabym być dla ciebie w tem życiu? Niewyrozumiała byłam i natrętna... Chciałam cię widzieć codziennie...

Główna spadła na rękę doktora bezwładnie.

„Nie żyła!“

